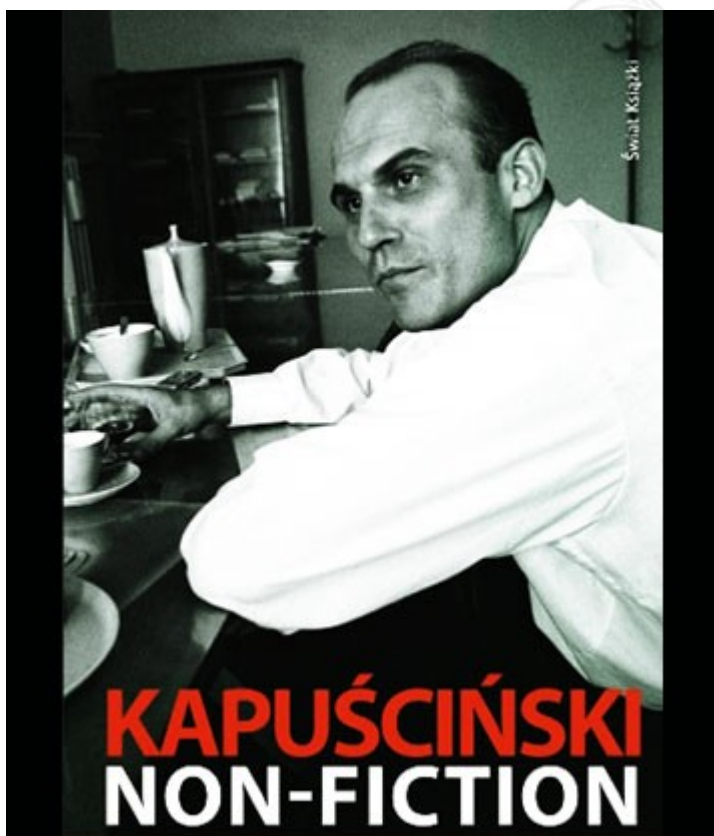


BŁONY ILUZJI

ROLA – STRUKTURA – KILKA REFLEKSJI NA TEMAT DWÓCH KSIĄŻEK

TEKST: MARCIN PINIAK



Chodziłem wokół tej książki, kiedy zrobił się tak zwany medialny szum i różne „znaczące głosy” wybrzmiewały w mediach uderzając w przeciwne oktawy negowania i afirmowania książki Artura Domosławskiego „KAPUŚCIŃSKI NON FICTION”. To było jak to mówią „wydarzenie literackie”, a książka zajmowała całą wystawę księgarni „Świat Książki” sugerując tym samym, że osiąga status „platynowej kontrowersyjnej hot płyty długogrającej” zapuszczanej przez DJ-ów elity intelektualnej 4RP, czy może już nawet 5 – tej. Grało to jakiś czas, a ja wciąż czekałem na swoją kolej do odbębnięcia podróży po świecie pisarza, którego uważam za Wielkiego. No właśnie – Wielki Pisarz. No właśnie – uważam. Tutaj już pojawia się wątek – sedno. Rozbrajanie naiwnych iluzji i mitów, nawarstwionych wyobrażeń, wyidealizowanych wizerunków, które

powielane pieczołowicie przez czołobitnych wyznawców – naśladowców. Syndrom fana, podziwiacza, który wypełnia obcym życiem własne życie, obcą narrację wstawiając w puste miejsce, którego sam nie ma siły zappełnić. Jaki był jego sekret? Jaki był? Z kim żył? Za ile? I oto przychodzą odpowiedzi – rozpoczyna się nasycanie, rozkład na czynniki pierwsze do trzewi – docieranie do prawdy o człowieku.

Prawda o człowieku. To mnie śmieszy, bawi i rozczula. Rozdygotana dłoń chirurga – biografa, zardzewiały skalpel faktów – brunatna krew na białym prześcieradle. Rejestracja operacji, diagnoza choroby, walka organizmu. Operacja zapakowana w okładkę, cytaty wspierające sprzedaż, twarz chirurga we wkładce, non fiction na okładce. Transmisja międzynarodowa – gdyż bohater był Uznany przez Gremia. Łatwo tutaj się umoczyć, wpaść w koleinę skrajności ponieważ materia jest złotą nitką szyta, jedwab humanizmu, człowieczeństwa, wielkich spraw, idei, mądrości – czyli jakby nie było wszystko to w co chcemy wierzyć, o co chcemy walczyć, a każdy bojownik tej sprawy jest naszym bohaterem, który dodaje nam otuchy w otumanionym świecie 3D.

Tak było ze mną i Kapuścińskim. Pierwsze kilka zdań i już wiedziałem, że to jeden z tych sensytywnych kanałów przekazu, wrażliwy i konkretny, wyrazisty i bezpretensjonalny, odkrywczy i długo, długo łał, łał, och, och. Jego napisany świat, choć wydawał się opisany otwierał inne wymiary znaczeń, odczuć i nadawał zupełnie nowe interpretacje. Dobroć - ta przestarzała, niemodna już cecha przebijająca przez stronicę tych książek stanowiąca ich rytm, troska – o człowieka, świat, pasja – w rzeczywistości przypiętej pasami bezpieczeństwa podczas crash testu. To przywraca wiarę, daje siłę – świadomość, że pracowitość, uczciwość i pasja – mają szansę w tej skurwionej aglomeracji tanich łatwostrawnych karier i dupo demokracji wyobrazeniowej.

Wielki Człowiek.
Wielki Pisarz.
Wielkie Sprawy.
Wiara. Nadzieja. Miłość.

Mały człowiek.
Przereklamowany Pisarz.
Lepkie sprawy.
Zwątpienie. Beznadzieja. Zawieść.

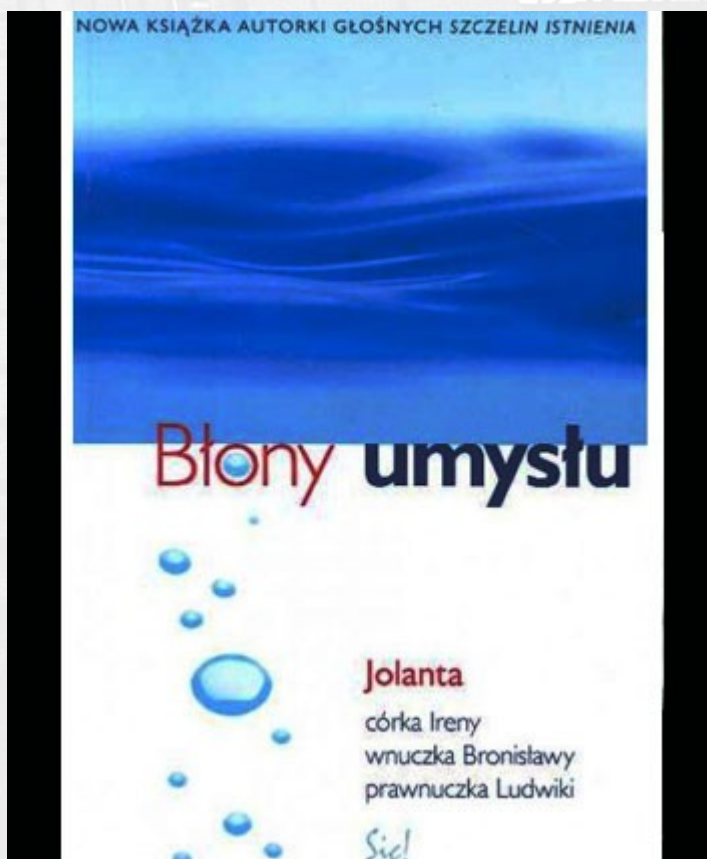
A co jest po środku?

Miliardy spraw. Ósma, szesnasta. Dom, telewizor, pranie, cukier, kawa, plotka... czy tak zwane życie jest heroiczne? Wzniosłe? Wielkie? Kiedy wejdziemy w to wszystko pomiędzy Dobrem i Złem, Pięknem i Brzydotą – niechybnie przy odrobinie uwagi i czujności zapadniemy się w Umowność. Relatywizm. Atawistyczne domniemanie znaczeń. Trochę jak z naszym mózgiem, który przeprowadza bezwzględną selekcję informacji w trosce o to byśmy się pewnego dnia nie rozpadli jak rzeźby z piasku, lub postradali zmysły w zderzeniu z natłokiem wykluczających się danych. Iluzje nas chronią. Odgradzają. Pozwalają naszej wrodzonej ignorancji rozkwitać, rozkoszować się schabowym podczas rytualnego uboju, to wszechogarniające kwiecisto – pstrokate mamrotanie grubo szytych sloganów zapewnia nam ciągły iluzoryczny komfort. Puchniemy tym – brokatami słów, ubiorem, całym swoim wyjątkowym poczuciem siebie. Wszyscy są umoczeni w gównie – jednak siłą naszych iluzji wyobrażamy sobie basen i kwiaty lotosu pachnące i wiotkie jak umowne wyobrazeniowe piękno (czyli notabene wpojony, zaprogramowany zestaw standardów – wdrukowany na kolektywnym CD). Rozprawiamy o pięknie, malujemy piękno, podziwiamy je – i desperacko chcemy zatrzymać nie rozróżniając, że jego początkiem jest właśnie brzydota, odcinając ten niechciany fragment jak komórkę rakową. To jest dramat rozpisany w miliardach nieskończonych aktów. W tej książce to jest, uderza w nas, a będąc precyzyjnym w nasze wyobrażenie jakie tulimy, ponieważ coś nas uwiodło. W świecie ustawicznego braku, oportunistów, wygodnictwa i skrajnego egoizmu – rzucamy się na bohaterów, naszych plastikowych herosów, flagowych rewolucjonistów pełnych patosu i wytartych frazesów by po raz kolejny podziwiać – usprawiedliwić własną miałość. Kapuściński wedle słów Domosławskiego tworzy siebie jak swoje kolaże z smutną i druzgocącą konsekwencją, widząc siebie na mitycznym TAM, sprowadza TERAZ do narzędzia by cel swój osiągnąć. To jest pierwsza rzecz, która mnie uderzyła – dość trzeba powiedzieć mocno i soczyście. Stało się tak ponieważ wierzyłem w spójność postaw i konsekwencji. Lawirowanie, kalkulacja, oportunizm wiele momentów bezwzględności – jakaś oznaka głupoty jako upor. Śmierdzi. Kłamstwo jako to małe nieznaczące – nie główny budulec, lecz dodatek do zaprawy. I ten męski świat odkrywców – gdzie partnerem do dyskusji jest jedynie ciało mające penis. Śmierdzi.

Jednak czy tylko to? Czy to jest Prawda? 600 stron liter? Można to przełożyć na 75 lat? Wyczerpać temat? W imię czego? Prawdy? Własnej kariery? Pamięci? Rozliczenia? To jest bardzo ryzykowne, bardzo dwuznaczne. Kogoś wzniosło, kogoś upodliło, ktoś wygrażał, ktoś wychwalał. Prawo do cudzego życia podpisane własnym nazwiskiem. Twarde fakty na sprzedaż, fragmenty upadłego pomnika w dobrej cenie, dziurawy relikwiarz. Jednak przed tym jest nasza ciekawość, kolejny pretekst by zapomnieć o sobie i skupić uwagę na innych. Na krzyżach, Kapuścińskim, katastrofach itd. Lubimy żyć innymi, można powiedzieć, że to czyni spektakl możliwym, a nas widownię trzyma na sali kiedy opluwamy lub bijemy brawo. Kapuściński dotykał Roli, opisywał spektakl z pozycji przydzielonych ról wierząc, że sam odgrywa główną stawiając siebie jako soczewkę. Ten dualizm pracy i życia, spraw pierwszorzędnych i drugorzędnych, ludzi wydarzeń ważnych i mniej ważnych – selekcja w imię metafory, paraboli, figury i symbolu. Uproszczenie. Jednak kiedy symbol już jest – coś trwa jednak dalej. Dalej trwa życie – te miliony spraw dalekich od poetyckich metafor, trwamy my dalecy od ideału i wizerunku jaki z takim mozolem budujemy. Przyznać to – to ponieść porażkę, ponieść porażkę to przyjrzeć się uważniej samemu sobie i światu. Przebić błonę iluzji zaprzestając ucieczki w cudze światy. Wytrzymać ze sobą kiedy już nic cię nie inspiruje, kiedy wszystko traci blask – to jest dla mnie czyn heroiczny. Wytrzymać własną śmieszność i wypluć flegmę swoich frazesów. Kontemplować to. Na czym to wszystko polega?

Na potrzebie wyjścia z siebie z zamiarem czarowania innych. To jest energia, kiedy ktoś ci mówi, że jesteś wyjątkowy. To nadaje sens twojemu istnieniu. To scala podstawową fundamentalną iluzję. Prawda jest brutalna. Nikt z nas jej nie chce. I zrobimy wszystko, dokonamy najgorszych zbrodni by jej nie poznać, by ją zdławić i za każdym razem z furią jej zaprzeczyć. To jest ten punkt, gdzie wszystko się spotyka i rozpoznaje. To jest ten punkt, gdzie Dobro i Zło, Bóg i Diabeł, Ja i Ty przestajemy istnieć. Jesteśmy tylko umową warunków i zrobimy dosłownie wszystko by zostać w więzieniu. Jednoczesny akt narodzin i zgonu, kserokopia tożsamości.

W ten świat tak inny, osobny niejako pod prąd zaprowadzi nas Jolanta córka Ireny, wnuczka Bronisławy, prawnuczka Ludwiki – kobieta bez nazwiska, gdyż kobiety nie mają własnych nazwisk. Jolanta zaprowadzi cię na salony „szczelin istnienia” w rejonach gdzie potencjalnie każdy ma wstęp – jak na przykład wdychanie powietrza, czynność bez której umrzesz po trzech minutach. To jest w jakiś sposób szokujące – nieprawdaż? To książka zmysłowa, pełna prawdziwej mądrości i troski. Delikatność. Uwaga. Zupełnie inny świat, nie ta duszna fabryka myślobytu, ogarniania polityki, wielkich procesów przemian, globalnych problemów, tej spektakularnej maskarady, która zatruwa nam i tak już zużyte mózgi. Tak jesteśmy na wyczerpaniu, jak roboty którym kończą się baterie dżurasel, jak szopka bożonarodzeniowa zastygła i sztuczna klejona w Chinach.



Jolanta Brach – Czaina w „Błonach umysłu” zabiera nas w inną podróż – nie tą spektakularną jak nasz reporter w krwi, mozole i poświęceniu – która bardziej staje się widokówką, lecz ulotna, krucha wciąż zagrożona unicestwieniem – taka jakby to rzecz nierealną, bo do bólu prawdziwą. To jest ten wspomniany moment kiedy granica nie daje się określić, gdzie kończy się życie i zaczyna śmierć i gdzie kończy się śmierć i zaczyna życie. Jesteśmy w Tym. Jesteśmy Tym. Jesteśmy. Zaczynamy widzieć sam akt widzenia, czuć sam akt czucia, docierać w pierwotny punkt. Nie czynność, przypisanie roli i odgrywanie, a sam fakt istnienia jest tu osią koła lub punktem skąd zostaje rozrysowane życie. Z poziomu abstrakcji trafiamy na poziom bytu – z poziomu roli na poziom struktury. Można przyjąć, co zresztą wydaje się obowiązującym poglądem, że mózg, umysł, zdolność myślenia jest ewolucją, wyjściem poza zwierzęcość i cielesność, opuszczeniem formy mięsa i wędrówką ku innej percepcji. Tak powszechne postrzeganie ciała jako pojazdu, funkcji użytkowej dla umysłu Monstrum, dla jego spekulatywnych fanaberii, jego terrorowi – kiedy twór ten hula sobie w najlepsze jego kaprysy jakby nie było podtrzymuje ciało, które bez szemrania trwa, odżywia i karmi dając „bazę” i punkt zakotwiczenia. Może być jednak odwrotnie to nie ciało jest wytworem umysłu, a umysł wytworem ciała – albo co prawdopodobne to kolejny dualizm jedności. W „Błonach umysłu” docieramy do tego punktu, badamy tę granicę gdzie umownie coś się ma kończyć i coś zaczynać – jednak będąc w tym punkcie „zero” zdajemy sobie sprawę, że jednocześnie duch jest materią, a materia duchem. Monstrum połykając te zapisy, ten dotyk wpada w poślizg, musi się przyjrzeć własnej fikcji – praprzyczynie nędzy. Brak rozróżnienia, obmacywanie swoich własnych zrodzonych ze strachu form, zabawa nimi – tutaj się urywa tak nagle i definitywnie, że to co się pojawia nie może mieć nazwy, nie może zostać ukrzyżowane myślą, która staje bezbronna i naga.

Polecam czytać te książki jednocześnie – wychodząc z roli ku strukturze i na powrót wracać do spektaklu z lekkim przymrużeniem oka podejmować te eleganckie mądre dyskusje o życiu etc. Spojrzeć na dłonie trzymające książkę, żyły biegnące po ciele. Spróbować zgadnąć gdzie się zaczyna się nieśmiertelność i gdzie się kończy. Gdzie ruch staje się bezruchem, a duch ciałem.

Gdzie myśl nie potrafi wejść.

